

proza / poezja / esej

józefina arodaz
karolina broda
kamil dygut
krystian furgal
marcin hanuszkiewicz
ida kafka

aleksandra klóska
piotr machajek
klara mendrek
katarzyna orzeszek
aleksandra paszko
natalia płatek
kuba schuwald

§ k ł a d k a

wiosna 2021 (1)

Internetowy Magazyn Literacki

zdjęcie i projekt okładki: kłaudia kołodziejczyk



Internetowy Magazyn Literacki ***Składka***

Redakcja i wybór tekstów: *Krystian Furga*
 Klaudia Kołodziejczyk

Korekta: *Krystian Furga*
 Jowita Mazurkiewicz

Skład i projekt okładki: *Klaudia Kołodziejczyk*

Spis treści:

03	<i>Wstęp (od Klaudii)</i>
04	Klara Mendrek
05	Natalia Płatek
06	Marcin Hanuszkiewicz
09	Kamil Dygut
12	Aleksandra Paszko
15	Kuba Schuwald
17	Karolina Broda
20	Józefina Arodaz
21	Ida Kafka
23	Piotr Machajek
29	Aleksandra Klóska
31	Katarzyna Orzeszek
36	Krystian Furga

Wstęp *od Klaudii*

Myśli o miejscu, w którym młodzi ludzie mogliby publikować swoje teksty, towarzyszyły początkowo mi, a potem już naszej dwójce przez blisko rok. Przy tym projekcie wyjątkowo nie mam zamiaru zasłaniać się fałszywą skromnością i z całą pewnością piszę, że jestem bardzo dumna z tego, co udało nam się zrobić. Mam ogromną nadzieję, że przerodzi się to w coś jeszcze lepszego - we wspierającą relację między debiutantami i ich czytelnikami, w miejsce pełne możliwości i inspiracji.

Rodzina i przyjaciele wiedzą, jaki entuzjazm przejawiali, kiedy opowiadałam im o swoich planach, dlatego zasługują na najcieplejsze podziękowania - ich wsparcie na pewno dodało mi pewności siebie. Dziękuję też za zaufanie każdej osobie, która wysłała do nas swoje zgłoszenie, nie wiedząc zbyt wiele o tym, jak będzie wyglądał efekt końcowy. Myślę, że nigdy nie zapomnę o żadnej z osób, które opublikowały i będą w przyszłości publikować w *Składce* swoje teksty, ale tych, którzy pojawiają się w pierwszym numerze będę na pewno darzyć szczególnym uczuciem. Dzięki Wam *Składka* rozwinęła skrzydła. Bez zbędnego przedłużania - mam nadzieję, że pierwszy numer *Składki* (wydany w moją ulubioną porę roku) Wam się spodoba.

Klaudia Kołodziejczyk
współtwórczyni i redaktorka "Składki"

Rok z wiosną
Klara Mendrek

kiedy większość życia
przeżyjesz nie-żyjąc
życie w słońcu
w ptakach, w pąkach
wydaje się przeżyciem
co ci po pierwiosnkach,
skoro ledwo nie żyjesz?
a życie się wlewa
i
tymi pierwiosnkami i żonkilami
wyżywa się
kolejna rocznica w twoje urodziny
a ty nie żyjesz nie-życiem
a teraz na rok z wiosną
już na nowo
budzisz się w dniu u
rodzisz
samo życie.

Tylko po co?

Klara Mendrek jest studentką drugiego roku filologii polskiej i pierwszego roku kulturoznawstwa w ramach Kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Prowadzi dwa konta na Instagramie - jedno poświęcone tematyce społeczno-politycznej - @klarme17 i drugie, studygramowo-bookstagramowe - @study.dniowka. W przyszłości chciałaby zajmować się nauczaniem, a obecnie korepetytuje i promuje alternatywne podejście do edukacji.

II

Natalia Płatek

Mogłabym być mądra. Wiecie, erudytką z prawdziwego zdarzenia. I to nie tak, że tylko bym czytała byle co i byle gdzie i jak najszybciej i książka za książką, ale wchłaniała bym też Wiedzę (Wiedzę przez wielkie W) jak gąbka, jak wysuszona ziemia wodę, czerpałabym ze źródła i biegła dalej i zatapiała się w tej mądrości. Mogłabym uczynić biurko centrum dowodzenia, a kalendarz w formie zeszytu mapą wrogiego terytorium. Zapisać wszystko, zaplanować, podjąć decyzje, odhaczać kolejne zajęte tereny. Skupić się. Po lewej ręce wszystkie kolorowe zakresłaczki, po prawej czyste arkusze papieru, nad centralnym punktem karteczki do zaznaczania Istotnych Rzeczy. Mogłabym być dowódcą i to dowódcą genialnym – samoukiem, zdyscyplinowaną jednostką, mierzącą wyżej i dalej niż ktokolwiek przede mną. Chwyciłabym długopis w dłoń, a wszystkie światłe myśli, których ludzkość jeszcze nie spisała, byłyby w zasięgu mojej ręki, a wkrótce – całego świata. Mogłabym być mądra, to prawda, ale mam cztery łapy, których dreptanie słyszę coraz bliżej, ilekroć zbliżę się do biurka. Mam żółte oczy, wpatrujące się we mnie z wyrzutem, gdy tylko podniosę do ręki coś innego niż jedzenie lub pluszową mysz (piszczącą). Mam ogon przed twarzą na niej przy nosie oczach i w ustach. Mam ogon, ocierający się o klapę laptopa i twarz, wąsy i wreszcie kłębek futra, z godnością sadowiący się na klawiaturze lub rozłożonym podręczniku. Mogłabym być mądra, ale trzymając w ręku cienki, długi przedmiot nie zapiszę nic na kartce, prócz niewyraźnych znaków-śladów po próbie ucieczki długopisu przed zwinnością łowcy. Mogłabym się oszukiwać, ale mój kot jest ze mną równie szczery, co ciotki podczas wigilii. Patrzę w jego bystre, żółte oczy, które mówią mi, że w życiu są ważniejsze rzeczy niż mądrość. Na przykład próby złapania pisaka, gdy ten rusza się na arkuszu papieru, leżenie lub pogoń za pluszową myszą (piszczącą).

Natalia Płatek ma 22 lata, z wykształcenia jest skandynawistką, z uczucia: miłośniczką kotów, słońca i twórczości Urszuli Zajączkowskiej. W pisaniu szuka nowych spojrzeń i perspektyw, w literaturze: innej rzeczywistości niż ta, która ją otacza. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @zielonajasminowa.

ścieg (zgrubienie od: ściek, którego zdrobnienie to: ścieżynka)

Marcin Hanuszkiewicz

1

We śnie jedno z Tych Innych Słów – zapisane – rozżarza się
pod podmuchem mojego spojrzenia;

śpiące ciało w galarecie,
osnute osnówką jak nasiona granatu;

w kąciu oka twardnieje śpioch
– kruchy kryształek miąższu hipnagogi.

Głęboko u źródeł szumiących soków
przewlekłe płonie mityczny obraz,

w krwistych, czerwonych wnękach ręka
sięga niemrawo po zawleczkę granatu nieba:

budzę się ze zmęczonym bólem
zębów, którymi mimowolnie zgrzytam przez sen.

2

Ja, uchwycony w figurze zadzierania głowy:
nade mną poruszają się światła i wody,

a także – co najważniejsze – ptaki, ~~z których wrózę~~
które niosą ze sobą światy – światy takie,

w jakich je zobaczyłem, zasłyszałem.

W konsekwencji: sekwencja: ogromne chmury, spirale,

strumienie gawronów; trybunał siwych wron gromadzi się
nad morzem; pliszka siwa leci, falując wraz z zatoką;

śpiewa paw moszczący się w koronie drzewa; ~~bazant~~
feniks szybuje z krzykiem w dół zbocza; szeleszcząc,

sójka znika między gałęzmi, które – kiedy indziej
– poćwierkują – wymieniają się drobnymi raniuszkami;

błyszczą sierpówki w wielkim błękicie; gruchają
grzywacze wzburzone i liczne; wyśpiewując kryształ,

jaskółki tworzą wir, którego podstawę kreślą
na powierzchni wody; kos zadziera ogon, stroszy i trzęsie

rytmicznym głosem; świdrującym piskiem
ogłaszają swój powrót jerzyki; czepnymi pazurami

wspina się po korze zimorodek; po wdzięcznym łuku
przesuwa się, zawisłszy na wietrze, srebrzysta mewa;

z krzewu przy świątyni rudzik wzbija się w powietrze;
sikorki udzwieczniają niebo przy jeziorze; w stronę zamku

odlatuje zięba; dzięcioł zdradza swą pozycję w listowiu
niosącym się stukotem; martwy kwiczoł spada z gniazda;

sroka... sroka jest grzechoczącym obrazem topora bożego;
wokół topoli, na której gniazdują, orbitują ochryple czaple;

nad ośnieżoną przełęczą bije niespiesznie skrzydłami
~~czarny ptak. Nie poznaję go zza padającego śniegu.~~

pterodaktyl; światy wykluwają się jeden z drugiego,
jestem przesuwaniem się punktu odniesienia

w błogosławionych ciągach, które są błogosławione,
ponieważ donikąd nie zmierzają: czysta zmiennokształtność.

Jestem przesuwaniem się, uważam, by się nie wsunąć
w matrycę obrazów, w kłutwę, która nad wykluwanie

stawia przekuwanie, ale przesuwam się na koniec
za daleko, aż po kłutwę, aż po piorunującą maszynę,

która ma wieńczyć wszystkie ptaki. Mechanimalia
zastąpią animalia, by zgubiony gdzieś po drodze

człowiek, który opowiedział się sobie pod postacią
sieroty, mógł osierocić swoje maszyny.

***Marcin Hanuszkiewicz** - spacerowicz, miłośnik bodźców zmysłowych z upodobaniem do nastłuchiwań, przyrodnik-hobbysta, ciało. Teksty po polsku publikował m.in. w Arteriach, Tlenie Literackim, Gazecie Muszącej Się Ukazać, Drobiazgach i Stonerze Polskim. W Gazecie i Stonerze oraz w Malkontentach, Ctrl + V i Always Crashing udostępniał również kolaże. Można go również znaleźć na Instagramie na koncie @tkalnia.*

O nieistnieniu

Kamil Dygut

W opublikowanej w 1981 roku książce *Symulakry i symulacja* Jean Baudrillard, dokonując analizy zachodniej kultury, stwierdza śmierć rzeczywistości. Znaki, które kiedyś miały ściśle znaczenie zanikły. Kultura przeszła od naśladowania rzeczywistości do jej wytwarzania w formie symulacji. Co w takim razie jest, jeśli nic nie jest rzeczywiste? Problem rzeczywistości, jaki rysuje się w *Symulakrach i symulacji* polega jednak bardziej na tym, czego nie ma. Odpowiadając na pytanie: nie ma już odniesienia do rzeczywistości. Kiedy w platońskiej jaskini był jest jedynie cieniem idei, tak tutaj cień funkcjonuje samoistnie na własnych warunkach. Konfrontując czytelnika z tą oryginalną refleksją, można nawet posunąć się do stwierdzenia, że to nie cieniowi idei brakuje jej światła, a światłu jego cienia, który udawał idee. Na tym polega główny problem – na zaniku referencyjności, braku możliwości rozróżnienia prawdy od pozoru, rzeczywistości od fikcji. Baudrillard podaje tu przykład z pozorowanym napadem na bank. Gdyby udało nam się przygotować jak najbardziej autentycznie wyglądający napad, to mimo braku realnego zagrożenia i tak wręczono by nam okup, klient banku zmarłby na zawał, a policjant celowałby do nas¹.

Skoro więc fikcja zlała się z rzeczywistością w jedność, powraca Heideggerowskie pytanie: co to znaczy być? Czy powinniśmy przywrócić referencyjność, aby uzyskać autentyczne bycie? Baudrillard odpowiada przecząco, gdyż „fałszywym zawsze problemem jest pragnienie przywrócenia prawdy kryjącej się za symulakrem”.² Wynika to z tego, że kategoria prawdy jest polityczna. Precedens symulacji polega na tym, że używa najczęściej właśnie prawdy do tworzenia pozoru. Problem jednostki polega na tym, że z prawdziwych danych nie może odczytać rzeczywistości. Toniemy więc w bezsensie, absurdzie i pustce. Byciem symulakru jest więc nieistnienie i ono musi mieć miejsce, aby symulakr mógł się on pojawić.

Najciekawsze spojrzenie na to, co nieistniejące miał Ludwig Wittgenstein. Jak pisze Ray Monk w *Ludwig Wittgenstein: powinność geniusza*: „Traktat nie dotyczył jedynie podstawowej logiki. Był on głęboko zakorzeniony w mistycyzmie i schopenhaueryzmie. Odnosił się do niewyraźności etyki i estetyki”³. Rzuca to całkowicie nowe spojrzenie na tezy traktatu, odczytywanego najczęściej w kategoriach pozytywizmu. Co w takim razie wyrażają tezy 6.42 („Dlatego nie ma żadnych tez etycznych. Zdania nie mogą wyrazić nic wyższego.”⁴) i 6.421 („Jest jasne, że etyki nie da się wypowiedzieć. Etyka jest transcendentna. [Etyka i estetyka to jedno.]”⁵)? Oznacza to, że etyka i estetyka znajdują się poza językiem. Język jest równoznaczny ze

¹ Jean Baudrillard, *Symulakry i Symulacja*, 1981, s. 29.

² Jean Baudrillard, *Symulakry i Symulacja*, 1981, s. 38.

³ Ray Monk, *Ludwig Wittgenstein: powinność geniusza*, 1990, s. 150.

⁴ Ludwig Wittgenstein, *Traktat logiczno-filozoficzny*, 1921, s. 80.

⁵ Ludwig Wittgenstein, *Traktat logiczno-filozoficzny*, 1921, s. 80.

światem, więc piękno i dobro znajdziemy tam, gdzie nie ma nic. Piękne może być tylko to, co umiera, to czego nie ma, a jest widoczne. Autentyczność bycia jest więc w jego śmierci. "Pozory – one są nieśmiertelne, niezniszczalne i nie ima się ich nawet nihilizm sensu i bez-sensu."⁶

Zdołaliśmy wyrazić już piękno w każdy sposób, eksplorując rozmaite techniki prezentowania rzeczywistości. Z czasem zaprzeczyliśmy również pięknu, rozrywając rzeczywistość. Wciąż jednak nie dotknęliśmy faktyczności piękna – nieistnienia, które transcenduje język, stanowiąc bycie w myśli i ciele. Nie ma potężniejszej melancholii niż ta, którą wywołuje czas i nie ma bardziej przyziemnego uczucia, niż utrata. Nie można zasymulować własnej śmierci, nie narażając się na śmieszność. Wiedzą o tym specjaliści od marketingu, dlatego gdy jesteśmy codziennie kuszeni zimnie wykalkulowaną duchowością i sentymentalizmem, by nie zepsuć sztuczki, nie przemawia się do nas, tylko my przemawiamy do znaków, nadając im osobisty wymiar. Faktycznie nieistnienie, może zaistnieć tylko, gdy samemu odwołamy się do własnej egzystencji. Nikt nie może nam odebrać jej bezsensu. Osobowość można narzucać, projektować, ale nie można wyrazić, gdyż doświadcza się jej jedynie w pustce. Każda próba wyrażenia nieistnienia odbywa się w języku, który uwzględnia jedynie to, co istnieje. Śmierć jest więc ostatnim, najbardziej pierwotnym trybem bycia.

Czy istnieje jednak ryzyko, że można zasymulować nieistnienie? Ciekawie porusza to film *Dziwne dni* z 1995 roku w reżyserii Kathryn Bigelow. W filmie wykorzystano nagrania powstające przez rejestrowanie pracy mózgu, które później wypalane są na płycie, najczęściej w celu sprzedaży. Wizja nieśmiertelnych wspomnień, bądź nabywania cudzych, jest najtragiczniejszą wizją pustki wiecznego powrotu. Przypomina to bardziej niekończące się destruktywne cierpienie, agonię. Nagrania są narkotykiem zabijającym podmiotowość. Wypełniają pustkę jestestwa, zamieniając ją na plastikowe krążki. Nic nie jest wtedy już piękne, gdyż nicość zostaje zmaterializowana i utrwalona. Świat *Dziwnych dni* jest wręcz mechaniczny. Główny bohater, żyjący cały czas snem, musi zabić swoją przeszłość, aby odzyskać nicość jestestwa, która jedyna pozwala autentycznie być.

Nikt tak przejmująco nie widział tego, co rozpada się w nicość, jak Cioran. W eseju o śmierci pisze: "Śmierć nie jest czymś z zewnątrz, ontologicznie różnym od życia, ponieważ nie ma śmierci niezależnej od życia. Wkroczyć w śmierć [...] oznacza raczej odkrywanie w toku życia drogi do śmierci i odnajdywanie w życiowych oznakach życia nieuchronnej otchłani śmierci"⁷. Warto jeszcze raz podkreślić, że śmierć nie stanowi tu formy braku, czysto abstrakcyjnej różnicy życia. Nieistnienie jest popędem, nadającym smaku byciu. W pismach Ciorana jest to popęd tak silny, jak popęd seksualny w freudowskiej psychoanalizie. "Chciałbym eksplodować, płynąć, rozpadać się w pył, a moja dezintegracja byłaby moim arcydziełem."⁸ Nie jest to jednak

⁶ Jean Baudrillard, *Symulakry i Symulacja*, 1981, s. 196.

⁷ E.M. Cioran, *Na szczytach rozpacz*, 1934, s. 23.

⁸ E.M. Cioran, *Na szczytach rozpacz*, 1934, s. 57.

chrześcijańskie umiłowanie cierpienia i wielbienie godności cierpiącego. Cioran doskonale zdaje sobie sprawę, że cierpienie jest bolesne, brudne i nieuczciwe. Gloryfikowanie go jest albo niedojrzałością, albo cynizmem. Jak pisze: „nigdy nie mógłbym napisać apologii cierpienia, ponieważ długotrwałe cierpienie – a każde prawdziwe cierpienie jest długotrwałe – chociaż oczyszcza w swoich pierwszych fazach, burzy powód, otępia zmysły i wreszcie niszczy”⁹. Występuje przeciwko absolutyzowaniu własnego cierpienia, monopolizowaniu wrażliwości, zatajonej formy uznania własnej wyższości. Subiektywność jest u niego drogą do megalomanii lub umniejszania własnej osobie dla tych, którzy nie mają wiary¹⁰. Przeklina subiektywność, gdyż nie jest liryczna, nie dotyka jedności nieistnienia, wypełniającej wszechświat.

Potrzeba więc w świecie kopii bez oryginału patrzeć tam, gdzie nie ma nic. Rodzić się na nowo, zauważając pustkę istnienia. Świat jest wciąż pełen melancholii, której dostęp zamyka abstrakcyjny świat polityki i ekonomii.

Zło jest czymkolwiek co rozprasza - Franz Kafka¹¹

Bibliografia:

1. Jean Baudrillard, *Symulakry i Symulacja*, 1981.
2. E.M. Cioran, *Na szczytach rozpacz*, 1934.
3. Franz Kafka, *Osiem notatników*, 1948.
4. Ray Monk, *Ludwig Wittgenstein: powinność geniusza*, 1990.
5. Ludwig Wittgenstein, *Traktat logiczno-filozoficzny*, 1921.

Kamil Dygut jest urodzonym w 2003 roku humanistą bez licencji, uczęszczającym wciąż do szkoły średniej. Entuzjasta mięty. Inspirują go idee i impresje. Czerpie z twórców takich jak William Basinski i James Joyce. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @_helplesschild.

⁹ E.M. Cioran, *Na szczytach rozpacz*, 1934, s. 55.

¹⁰ E.M. Cioran, *Na szczytach rozpacz*, 1934, s. 113.

¹¹ Franz Kafka, *Osiem notatników*, 1948, s. 23.

prysznicowa opowieść w trzech aktach

Aleksandra Paszko

1. tak wziąć i przytulić
gorące potoki z prysznic
miętko się w nie wtulić
i już się nie budzić
w ciepłych strumieniach
pomykać
łuski włosów podomykać
w słońca promieniach
ze skóry się obierać
wyszorowana ze wszystka
różowa i czysta
przekopie się lekko
przez miąższ
czując wciąż
miętko
ść
dotrę do pestki
na końcu kolacji
kolor ma niebieski
ma dość izolacji

2. gorący strumień
z rurki metalowej
nie zrobi ze mnie
rurki nie minionej chwili chłodnej
niebieskiej, wrażeń głodnej
nie wypada tak pitolić
gdy twarzyczki można
w promieniach ciepłych schronić
skrzydełka me
prosto z różna
w usta twe
tak nie można
idź już se
gdy nie umiesz być

ostrożna

3. szorowanie kabiny prysznicowej

trochę ulżyło

mej klatce piersiowej

choć drażni górne drogi

oddechowe

to jest to odjazdowe

że nikt

nikt tak jak ja

tego kranu nie wyszoruje

i trochę się lepiej czuje

że me stopy

dotykają bieli czystej

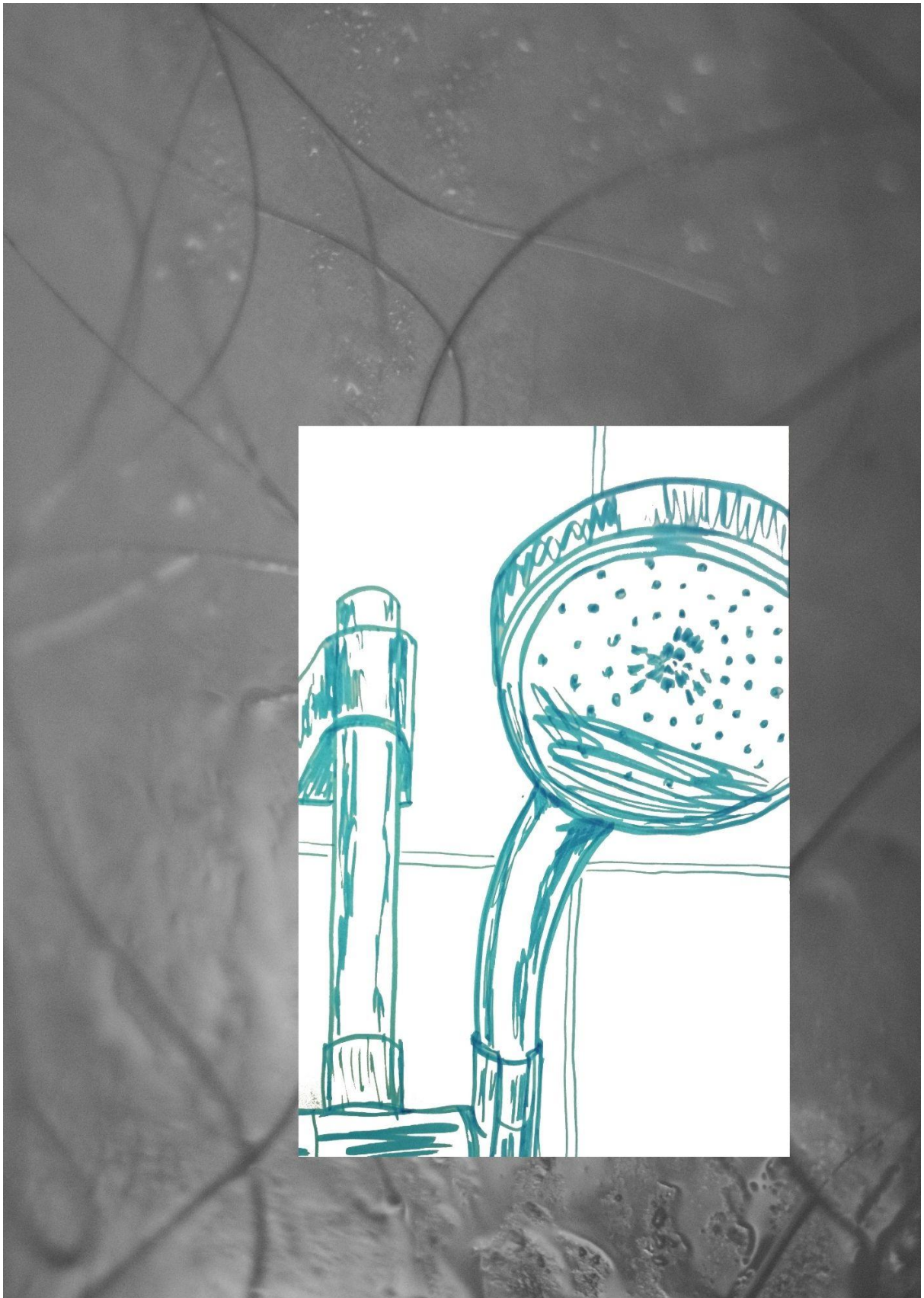
błyszczą się słuchawka

prysznicowa opowieść

dzisiejsza

dobranoc

Aleksandra Paszko a.k.a. paszka; pisze wiersze, robi zdjęcia, obija się po kątach swojego pokoju i próbuje się rozwijać jak magnolie w maju, choć nie zawsze jej wychodzi. Białostoczanka, która studiuje, pracuje i żyje w Warszawie. Publikuje swoje zdjęcia na Instagramie na koncie @paszko.takes.



zdjęcie i rysunek: *Aleksandra Paszko (@paszko.takes)*

Krótkie opowiadanie o sensie często zaplątanym, ale jednak obecnym

Kuba Schwald

Jeszcze nie wie, w czym uczestniczy, nie czuje i nie zachwyca się tym, co stanowi. W ciągłym ruchu wzrasta, żywi się, aby w końcu sama żywić. Nie pamięta tego, ale trafia do żołądka, który nie ma pojęcia, że jest częścią jeszcze nienazwanego ogółu. Trawi, wypluwa, umiera. Wchłania ją Ziemia.

Podnosi się, śmiało wystawia liście. Pośród labiryntu pulsujących arabesk przeciska tkanki. Wybijają się za wysoko. Zwraca uwagę. Żółte, bezrozumne oczy wprowadzają w ruch resztę ciała. Przeciska się przez gąszcz zieleni wszelkich odcieni, rozwiera paszczę i znika, nie wiedząc co w czym uczestniczy. Rozszerzenie żółtych oczu w ostatecznym przerażeniu. Zamknięcie powiek.

Otwierają się znowu, gdy zwierzę, ssąc mleko matki, dostrzega promienie słońca ze wschodu. Nie wie, dlaczego akurat wschód, ale pamięta, że ciepło emanuje zawsze z tej strony. Żółte oczy zamykają się, zanurzając cały swój byt w rozkoszy mleka.

W kuchni syn rozmawia z matką.

- Dlaczego nigdy nie mieliśmy w domu roślin?
- Bo nikt nie miałby czasu, żeby się nimi zajmować. – Matka uśmiecha się.
- Przecież w lesie one rosną tak o.
- W lesie to co innego. Nie wiem dokładnie.

Matka nie wie, w czym uczestniczy, nie czuje i nie zachwyca się tym, co stanowi. W miejskim liceum prowadzi zajęcia z literatury. Wie, co z czego wynika, kto z kogo czerpie, czytając wiersze wpada w ekstazę, skrzętnie ją uwewnętrznia. Rozum i serce współgrają, jest dobrą matką. Ale roślin i zwierząt nie lubi. To jeszcze o niczym nie świadczy, ale może gdyby wtedy kupiła i postawiła na parapecie w kuchni tę fuksję, którą spostrzegła kątem oka w kwaciarni, na chwilę zrozumiałaby, czym są żółte oczy, tkanki i mleko. Bycie matką to dla niej pieluszki, kaszki i miłość. To wszystko umrze.

Syn uwielbia lasy, jego pasje obejmują wszystko, co żywe. Kończy studia botaniczne i myśli o wyjeździe do Brazylii w poszukiwaniu nieznanых gatunków, chcąc być jak odważni podróżnicy, o których tyle czytał w dzieciństwie. Przygotowuje się bardzo długo, studiuje wielkie botaniczne kompendia, przegląda przewodniki i atlasy.

Żegna matkę i wyrusza, będąc pewnym, że jego podróż jest czymś o wiele ważniejszym od dotychczasowych działań i badań. Trafia do głośnego, kipiącego ludzkimi problemami miasta.

Rozpoznaje w nim wiele zwyczajów, o których tyle się już dowiedział, widzi międzyludzkie relacje, społeczne zgrzyty i niesprawiedliwości. Historia pomaga mu zrozumieć. Zjawiska fascynują, ale cel leży gdzie indziej. Zanim odchodzi, zastanawia się, czy ludzie w ogóle wiedzą, czym są i co stanowią. Wchodzi w puszcę, przebijając się przez gąszcz wszelkich odcieni zieleni. Miasto przestaje istnieć, harmider ulic przeradza się w szmer lasu, a miejska, ludzka gromada staje się senną marą, wrażeniem turysty.

Je, trawi i bada. Czuje ekstazę poznawania, nie musi nic uwewnętrzniać. W zielonej masie nie ma szczegółu ani ogółu. Nie ma pod ani przed. Podróżnik mija miot kapibary, istnienie budzi w nim odczucia i sensory, o których dawno zapomniał. Ale przeprawa męczy, notatki, diagramy i ryciny powoli nużą. Zamknięcie powiek.

Gdy otwierają się ponownie, widzą przed sobą żółte oczy. Krzyczą „nie zabijaj”, ktoś już to kiedyś powiedział, właściwie przypomniał. Dwie istoty stoją w bezruchu, teraz nie istnieje nic poza tą chwilą. Teraz obie wiedzą, w czym uczestniczą, czują i zachwycają się tym, co stanowią. Syn przypomina sobie o matce, o ssaniu mleka z piersi, o gromadach ludzkich. W zadumie wchłania go Ziemia.

Kuba Schuwald pochodzi ze Śląska, lubi opowiadać o historii sztuki. W wolnym czasie uwielbia obserwować pszczoły.

Miłość nie uratuje ukochanej osoby

Karolina Broda

Każda rzecz ma w sobie coś z niesamowitości stawania się. Moje życie w tamtym czasie utkane było tylko z tych kilku zupełnie przypadkowych pomyłek, tak jak życie każdego było wypadkową niezmiennej narracji, losu, któremu nawet nie śni się zadawać pytania.

W tamtym domu każda czynność pachniała osobno. Zapach był jedyną siłą napędu dla poznania. Węszyło się niemal wszędzie. W każdym z pomieszczeń unosiła się ta swoista woń, każda z nich miała indywidualny, ponadczasowy charakter, tak jakby już nigdy nie miała przestać sprawować swojej funkcji, jakby na zawsze miała pozostać tą jedyną wiązką, zapadającą w pamięć i w gruncie rzeczy nieokrzesaną. Była bezwzględnie potrzebna. Lecz nie tak jak potrzebny jest nam utylitaryzm, wojny i kultura gwałtu. Była świątynią epistemologicznego treningu. Potrzebą dalszego spojrzenia, przybliżenia soczewki. No przecież z bliska widać najlepiej. Wraz z jej wskazówkami człowiek rozpoznawał cały teren, wytyczała raz po raz ruch ręki. Była jedynym przewodnikiem podróży.

Mój dom pachniał niewymownym cierpieniem. Co prawda nigdy nie zakuto mnie w kajdany, ale przecież tak niewiele potrzeba, by człowiek poczuł się uwięziony, by w momencie okradziono go z umiejętności oddechu. A zapach domu był dla mnie właśnie owym utraconym oddechem. Dzień, w którym pojęłam, że nie potrafię już oddychać, był dniem moich ponownych narodzin. Podłączyłam się do respiratora czułości, tak żeby mieć ciągły dostęp do oksytocyny. Wrywałam sobie szczeliny istnienia, by dać przestrzeń pod nowe życie, utkać życie wewnętrzne, wyłożyć posadzkę wspomnieniami, których nie chce się już pamiętać. Mam w sobie cały zasób niewysłowionej cierpliwości do istnienia.

Rodzaj konfesji, rodzący się w nas, gdy chcemy powiedzieć prawdę swojego życia, opowiedzieć się na nowo. Bo życie wcale nie jest stwarzaniem siebie, nie jest rysowaniem własnego portretu dla społeczeństwa, społeczeństwo nie lubi wieszać obrazów. Jedynym, co nam pozostało, to nie zapomnieć, jak się oddycha. Jak oddychać tak, żeby się nie zachłysnąć, żeby się światem nie zadławić, żeby dać światu przestrzeń do istnienia. Jak żyć, żeby się ze światem zespolić, ale żeby go nie zgwałcić? Jak oddychać, żeby nie zjeść siebie?

Wierzę lub bardzo pragnę wierzyć, że istnieje ten szczególny rodzaj wrażliwości, który pobudza w człowieku odpowiednie struny emocjonalne, by odczuwać i pojmować świat pełniej, lepiej, ale nie ujarzmić go, nie gwałcić jego piękna. Na tym zasadza się umiejętność oddechu. Wdech, wydech, próba konwersacji, epistolarna proza ustami, pisane wierszem powietrza dialogi ze światem.

Dom nie był świątynią medytacji oddechu. Zdusiliśmy w sobie tę potrzebę bardzo dawno, tak by na nowo się stwarzać. Lubiliśmy mieć dużo obrazów. Te wielobarwne pasaży przyprawiały nas o braki w dyskusjach. Czy byliśmy formą zbiorowej kontestacji? Nie wiem. Dopóki coś pozostaje nienazwane, nie warto o tym dyskutować. W ogóle dyskusja to rodzaj przegranej bitwy, z której nikt nigdy nie wychodzi cało.

Kiedy mijamy witryny i widzimy w nich swoje odbicie, to tak jakbyśmy się wtapiali w miasto, stawali się jego nierozdzielalną częścią. Przechodzimy obok szyb, doskonale przecież wiedząc, że nie jesteśmy już nawet w stanie siebie rozpoznać. Po co więc wciąż zerkamy?

Na tę obserwację zdobyłam się późno. Od najmłodszych lat nie pragnęłam niczego więcej niż oddychać, po prostu. Nie sycić się oddechem, ale mieć tyle powietrza, by starczyło na niezdechnięcie za rogiem. A i owszem, krztusiłam się i to całkiem często, plułam gęstą swawolą moich wnętrzności. Powiecie pewnie, że to choroba nieuleczalna, te całe wymioty tkanką czułą, bo od środka podszywającą istnienie. No i może macie rację niedoścignioną. Zresztą czytelnik musi być kilka kroków przed autorem, lecz wy biegniecie tam, gdzie mój umysł nawet nie dosięga.

DO RZECZY

w tamtym czasie wszystkie nasze okna były pootwierane, szkoda, że nie oczy...

Wietrzyliśmy pomieszczenia, jakby miała nadejść jakaś apokalipsa, eksplikacja końca świata, a jedyne, co nam było dane obserwować, to te spazmy ciepłego powietrza, przelewające się pomiędzy szybami, zalewające wnętrza naszych pokoi. Potok słów w porównaniu z bezkresem tlenu był niczym.

Oddychanie nigdy nie było aktywnością bardziej upokarzającą. W rytmicznych podrygiwaniach do muzyki nasza ochota na dotlenienie wzrastała. Byliśmy masowymi konsumentami polityki oddechu, przodownikami pracy w fabryce powietrza. Nie robiliśmy w zasadzie nic ponadto co konieczne, a i tak było tego za wiele. No i nie umieliśmy się do zaistniałej sytuacji ustosunkować, zająć konkretnego stanowiska lub przynajmniej klarownie opisać sytuację. Przegrywaliśmy na giełdzie wartościowych papierów z pogranicznych sytuacji życiowych. A na karcie żądań tylko ujemna pula dodatków solidarności ze społeczeństwem.

Pępowina została przecięta, a nam krew leci tam, gdzie uderza rewolucja. I znowu nieszczęsny powrót *do domu*.

Karolina Broda chciałaby przygarnąć kota, którego niestety nie może mieć ze względu na alergię. Na podobną alergię cierpi w stosunku do dzieci i grafomanów. Kilka razy zdarzyło się jej publikować na stronie Suplementu i Radia Egida, w tym ostatnim współprowadzi aktualnie audycje o kulturze. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie *@karolina_broda*.

**głos strawionej lękiem
z tytułu ulatujących spraw**

Józefina Arodaz

jeśli będę obserwować tylko lewą część nieba,
to coś mnie ominie
jeśli pójdę wcześniej spać, a na dole szmer rozmów,
to coś mnie ominie
jeśli odpowiem tak jak zawsze na błahy zestaw pytań,
to coś mnie ominie

i czy ja się tego nie boję
tej świadomości?
ilość spraw, których byłam prawie-uczestnikiem
ma moc przygaszenia tchu

w związku z tym czuję całodobowy strach
i przemożną potrzebę, aby oczu mieć dwadzieścia
co najmniej
i żeby ciała moje z czterech kierunków nadawały raporty
niech śledzą, świdrują, dopadają, konfiskują
obrazy potencjalnych moich szans

tymczasem codziennie
dwudziesta trzecia godzina tańczy w duecie z rezygnacją:
Świętowił nie użyczy mi wizerunku,
a ja nie umiem złapać nawet jednej sroki za ogon

Józefina Arodaz przyjęła fikcyjne imię, jej prawdziwe jest niewyraźne, nie dość bliskie, rozmyte; pod tym "szyldem" postanowiła przechowywać swoje literackie produkty. Pochodzi z miejsca, które nauczyło ją kochać naturę i do niej uciekać, gdy jest jej źle. Lubi tworzyć serpentyny i wszechświaty słowne, slalomy conceptowe, wyobraźnię lepić kreacje wszelakie i pokraczne. Jak sama mówi "Reszta, to bzdura i oszukaństwo. Tyle we mnie prawdy, co w momentach na łącze z kartką i długopisem". Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @czyteliusz.

Ogórki

Ida Kafka

Drżącą ręką uniosła kieliszek do ust i jednym haustem opróżniła go. Jej zmęczona twarz, oświetlona blaskiem halogenów, wydawała się półmartwa. Głębokie bruzdy na skórze, pokrytej grubą warstwą podkładu i pudru, jak i fioletowe półksiężycy pod oczami, pamiątki po dziesiątkach niespokojnych nocy, uwidoczniły się z podwójną siłą.

Na stole przed nią stały trzy duże słoiki, każdy po brzegi wypełniony przezroczystą, zieloną zawiesiną. Sięgnęła do jednego i wyjąwszy z niego okazałej wielkości kiszzonego ogórka, wpakowała sobie połowę do ust. Jego kwaskowatość zneutralizowała ostry smak wódki.

Oparła głowę na rękę i przymknęła oczy, czując, jak postalkoholowe ciepło rozlewa się po jej ciele, niosąc ze sobą senność. Uśmiechnęła się lekko i bezwiednie zaczęła wodzić wzrokiem po liniach na drewnianym blacie, który specjalnie wiele lat temu zostawiła niepomalowany. Nie lubiła pokrywania każdej możliwej powierzchni farbą, starań o ukrycie prawdziwej natury. Wszystkie te, które udało jej się uratować od upiększania, znajdowały się w piwnicy - czerwone, ceglane ściany, kamienna podłoga i surowe, drewniane umeblowanie, składające się na stół, przy którym teraz siedziała, oraz regały z przetworami, piwnica pełniła również funkcję spiżarni.

Było tu bardzo zimno, ale nie przeszkadzało jej to; zawsze schodziła na dół opatulona swetrem, a po pierwszych pociągnięciach z butelki, ukrytej za piątym i szóstym opakowaniem makaronu i tak przestawała czuć różnicę, między temperaturą tutaj, a tą panującą w cukierkowo przytulnej reszcie domu.

Niedbałym ruchem skopała z nóg domowe pantofle i bosymi stopami dotknęła podłogi. Zimno na chwilę przywróciło jej pełną świadomość, ale nie zlikwidowało przyjemnego szumu w głowie, który zagłuszał wszystkie myśli. Była spokojna, to było najważniejsze, nic jej nie bolało ani nie martwiło. I nareszcie była sama.

Odkroiła kawałek ogórka, zanim naląła sobie następny kieliszek. Dłoń drżała jej jeszcze mocniej, tak, że do ust trafiła zaledwie połowa kolejki. Ale nie miała siły ani ochoty się teraz tym przejmować. Przejechała po mokrej palenie palcem i oblizła go. Żadnych śladów.

Przeciagnęła się na krzesło, szukając wygodnej pozycji. Niestety, krzesło było proste, także drewniane, bez obicia, więc z cichym jękiem niezadowolenia wróciła do opierania się o stół. Dużo bardziej wolałaby teraz leżeć pod ciepłą kołdrą we własnym łóżku, ale wiedziała, że to niemożliwe.

Zawiesiła wzrok na zapasach zgromadzonych na regałach. Poza ogórkami dumnie piętrzyły się na nich marynowane grzyby, owocowe dżemy i przeciery z dyni, efekty jej wielodniowej pracy. Szybko je podliczyła i odnotowała, że powinna zrobić jeszcze kandyzowane wiśnie, bo za długo już to odkłada.

Wyprostowała się i znów napełniła kieliszek. Po kilkunastu sekundach był pusty. Zaczynało jej się kręcić w głowie. Nie lubiła tego, ale nie na tyle, żeby nie powtórzyć czynności jeszcze kilka razy. Przestała dopiero, kiedy opróżniła trzeci słoik ogórków. Co prawda w butelce coś jeszcze zostało, ale usłyszała chrzęst kół samochodu na żwirze. Uznała, że na dziś wystarczy.

Czym prędzej wspięła się po schodach i usiadła na kanapie w salonie akurat w momencie, kiedy w sieni rozległ się huk ciężkich butów opadających na podłogę. Usłyszała szelest wełnianego płaszcza odwieszanego na hak i ciężki, dyszący oddech. Następnie dokładnie trzynaście kroków, które dzieliły wycieraczkę od progu salonu.

- Mogłabyś przynajmniej wstać, kiedy wracam do domu. - Dobiegło zza jej pleców.

Jak na komendę zerwała się z miejsca. Podeszła do niego i szybko pocałowała go w policzek.

- Mam nadzieję, że miałeś dobry dzień - powiedziała cicho.

Nie odpowiedział. Nachylił się bardzo blisko niej, tak, że niemalże przytknął nos do miejsca, w którym jej szyja łączyła się z obojczykiem, i gwałtownie wciągnął kilka razy powietrze przez nos. Zaciśnęła powieki. Poczuła, jak kropla potu spływa po jej skroni.

Nic się jednak nie wydarzyło. On zmarszczył brwi i, nieco już spokojniej, odsunął się.

- Śmierdzisz ogórkami. Jeśli zamierzasz spać w tym samym łóżku co ja, masz się pozbyć tego zapachu. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego tak się nimi obżerasz.

Rzucił jej jeszcze jedno lustrujące spojrzenie, po czym odwrócił się. Postawił torbę na środku stołu jadalnianego i odszedł w kierunku schodów.

Odetchnęła głęboko i usiadła z powrotem na kanapie. Jednak jej serce wróciło do normalnego rytmu dopiero w momencie, kiedy usłyszała szum prysznic w łazience na górze.

Gorszy dzień

Piotr Machajek

Żeby zrozumieć gorszy dzień Marii, należy wyobrazić sobie białą kartkę: oto nasza *carte blanche*. Naiwnie byłoby sądzić, że kartka każdego wygląda tak samo - w przypadku jednych jest ona niemiłosiernie pognieciona, papier innych mokry jest od łez. Jeszcze inni sprzedają część tego, co mają, by zalać pozostałości alkoholem lub skręcić sobie papierosa albo coś fajniejszego. Są tacy, którzy uparcie zapisują na swojej kartce sprawy z przeszłości i nie pozostaje im już nawet skrawek na teraźniejszość. Niektórzy dawno już zastąpili papier chmurami i dyskami, choć trudno orzec, z jakim skutkiem.

Niezależnie od tego, jak z tym problemem radzą sobie inni, kartkę Marii w jej gorszy dzień należałoby - z samego rana bądź nieco później, choć raczej nie po południu - przepuścić przez niszczarkę. Owszem, rodzina Marii zdaje się czasem widzieć rozdrabniany papier. Również czasami, przy odrobinie szczęścia, uratują kawałek postrzępionej kartki; często jednak sztuka ta się nie udaje. Wzdychają wtedy, chwytają za przygotowane zawczasu nożyczki, wycinają kawałek tego, co miało być dla nich nową szansą i, mimo upływu czasu, wciąż targani emocjami, dzielą się z nią swoimi równiutko podzielonymi fragmentami. Kiedyś, w czasach złudnej nadziei, próbowali kleić ścinki rozmiarów płatków śniegu taśmą lub klejem. Po pewnym czasie, tak jak wielu przed nimi i wielu po nich, zrozumieli, że niszczarka-choroba nie tnie kawałków na pół, a szatkuje je w sposób niesklejalny i nieodwołalny, wciąż jednak oferując nową kartkę z początkiem kolejnego dnia.

Widzieć nie znaczy jednak to samo, co przewidzieć. Przewidzieć gorszego dnia nie sposób - choćby niejasnego przeczucia bądź rozumnej metody pozbawiona jest nawet Maria - ostatecznie kiepskie samopoczucie jest jej prawem, przywilejem, czasem nawet obowiązkiem, w oczach innych zaś często domyślnym i docelowym stanem ciała i ducha. Po to w końcu stwarzamy normy i porządek, by ich przekroczenie musiało się wiązać z konsekwencjami. Dlatego Maria, kogo byśmy nie spytali, cierpi na pewno. Chyba że spróbowalibyśmy zasięgnąć języka u samej zainteresowanej, lecz ta ewentualność nie ma w zwyczaju się narzucać - raczej czeka w kącie, aż ktoś na nią sam wpadnie.

Tamtego przedpołudnia zadawanie jakichkolwiek pytań było zbędne. Około godziny dziesiątej, przez chwilę zbiorowej nieuwagi, dzień Marii powrócił do punktu wyjścia bądź przemknął w mgnieniu oka ku końcowi. Żaden z domowników nie potrafił powiedzieć, co właściwie się stało: czy to duch osłabł, czy dały się we znaki odwieczne braki pewnego neuroprzekaźnika, czy też kanapka bezładnie obsmarowana dżemem dostarczyła Marii za dużo cukru. Niezależnie od domysłów i hipotez, padła na łóżko i zasnęła: prostopadle do łóżka, z głową wciśniętą w kołdrę,

jakby położył ją strzał w tył głowy. Podobnie zdało się też synowi - że raczej w ramiona śmierci wpadła, niż w objęcia Morfeusza. Z drugiej strony trudno mu było powstrzymać pobłażliwy uśmiech, widząc jej nogi, od kolan w dół zawieszane w powietrzu, ze stopami podrygującymi niespokojnie, lecz nie na tyle, by zrzucić ciężar gumowych kłapek. Wszyscy jednak zgodnie stwierdzili, że poprawianie pozycji ciała niesie ze sobą pewne ryzyko, a budzić tym bardziej nie warto - czyż nie zdarza się nam wszystkim uciekać w sen z błahszych powodów? Bliscy, mijając pokój Marii, podskórnie czuli, że sami w podobnej sytuacji, bez żalu, przespaliłyby cały dzień.

Koło południa, w porze kolejnych proszków-groszków, obowiązek przywrócenia Marii do życia przypadł mężowi. Nie szkodzi, że wielu z nas obca jest przyjemność budzenia własnej żony - wizja ta i tak na nic by się nie zdała. Na pewno większość potrafi natomiast przywołać obraz policjanta budzącego bezdomnego na dworcu: gotowe, Maria już nie śpi.

Relacja tych dwojga także przeszła przez niszczarkę, lecz w tym wypadku w ruch poszły całe, w dużej mierze zapisane, stronicy. Maszyna poruszała się inaczej - powoli, za to z większą pieczołowitością, jakby na jeden dzień wspólnego życia przeznaczono nie więcej i nie mniej, a właśnie jeden obrót. Tak, by oboje mieli czas przyjrzeć się dokładnie. Tak jak w przyjaźni, mogącej być początkiem i zwieńczeniem małżeństwa, niełatwo wskazać kolejne punkty w narracji, tak i tu trudno powiedzieć, kiedy obecność niszczarki zaczęła rozdzielać ich, z założenia wspólną, drogę. Za pierwszy godny odnotowania moment można uznać przeprowadzkę do oddzielnych pokoi. Maria rzekomo chrapała i to nieznośnie. Dzieci i bliższe otoczenie ze zrozumieniem przyjęły tę zmianę, choć każdy wtajemniczony w życie domowe wiedział, że zbolący warkot dobywał się co noc z trzewi zarówno jego, jak i jej. Czasem synom, snującym się późną nocą po mieszkaniu, zdawało się, że jej mąż, a ich ojciec, gromadzi w sobie energię z każdego punktu ciała, począwszy od palców u stóp, by wydać z siebie charkotliwą skargę na to, że sen nie przynosi ukojenia.

Po zażyciu leków, które zasadniczo pomagają, Maria i tak obija się o ściany: zagubiona wewnątrz własnego umysłu i w pozornie poznanym od podszewki mieszkaniu, emanuje desperacją, równocześnie absorbując ją z otoczenia. Na ratunek przychodzi myśl o czynności od dawna wnoszącej odrobinę jasności: sprzątanii. Sprzątanie, porządkowanie, przeglądanie, wertowanie, układanie, składanie, rozprawianie się - nawet w dni takie jak ten, kiedy Maria myli poranek z wieczorem, bez trudu odnajduje w swoim arsenale nowe słowo - nowy sens starych, powtarzalnych i z rzadka zasadnych czynności. Sama idea podjęcia się trudu uporządkowania spraw i przestrzeni domowej napawa ją optymizmem. Nieco skoczniejszym wybiciem z lewej, mocniejszej, nogi otwiera odpowiednią szafkę i, mimo ambitnych planów, wyciąga zaledwie jedną nawilżaną chusteczkę.

Domownicy dookoła wiedzą, jak złudną nadzieję daje widok Marii, z braku alternatyw eksplorującej rolę gospodyni domowej, a mimo to w wyobraźni każdego z nich kilka ścinków poszatkwanej kartki Marii na nowo przeistacza się w malutki, lecz niepodważalny w swym rozmiarze, kawałeczek papieru.

Tak oto duch aktywności zostaje uosobiony przez nasączoną ściereczkę szorującą szafkę w korytarzu krótkimi, pozbawionymi płynności ruchami. Nie na długo - Marię wciąga jak czarna dziura schowek - coś w rodzaju jej małego królestwa. Metr na trzy, pralka i szafki po sam sufit, a na półkach - pudelka, pojemniki, woreczki i przegródki. W takim miejscu szufladkowanie staje się cechą umysłu jasnego i rozsądnego.

Człowiek, z jakiegoś powodu, nie wytrzymuje zbyt długo w raju: również Maria po chwili porzuca zapalone światła wraz z rozproszonymi parafernaliami i wyrusza na poszukiwanie nowego porządku gdzie indziej. Syn zastaje matkę przycupniętą w kącie salonu - stwarzane przez nią wrażenie przejściowości jest jej cechą stałą. Wszelkie plany, nawet te pieczołowicie ułożone w głowie, nie znajdują odzwierciedlenia w postawie i zachowaniu ciała, dlatego domownicy nierzadko znajdują Marię zgiętą pod kątem czterdziestu pięciu stopni nad gazetą, myjącą wieczorem zęby z kubkiem kawy w lewej dłoni czy pochylającą się nad laptopem w rękawiczkach kuchennych.

- Co robisz? - pyta syn, w teatralny sposób unosząc stopy nad rozwianymi papierami, koszulkami, teczkami i segregatorami.

- Porządki, porządkuję tu trochę. - Maria jakby wyczuwała, że im mniej powie, tym pewniej zabrzmi jej odpowiedź.

- To widzę, ale po co znowu przekładasz te papiery?

- Dla porządku, by je tu trochę ogarnąć. Jakbym ich potrzebowała.

- Potrzebowała? Do czego? - Odbywał już wielokrotnie tę rozmowę, lecz niezmiennie był zaskoczony - może kryła się jakaś forma miłości w jego szczerej i na nowo przeżywanej konsternacji wobec sytuacji boleśnie powtarzalnej. W końcu Maria za każdym razem czuła sens swoich działań.

- No jakbym miała ich użyć, coś sobie przypomnieć, czy gdzieś się zalogować...

- Zalogować? Gdzie? - Choć miał cierpliwy głos, to czuł, że wymierza jej kolejne razy, powtarzając jej odpowiedzi w formie pytań. Zrozumiał, że odwoływanie się do tego, co dzieje się obecnie w jej głowie, donikąd ich nie zaprowadzi. Miał do wyboru odwieść ją od maniackalnych porządków bądź uznać, że jest to taka sama forma spędzania wolnego czasu jak czytanie czy oglądanie seriali. Mąż Marii uwolnił go od konieczności zastanawiania się nad tym problemem, ogłaszając sucho, że nadeszła pora obiadu, lecz dziś zjedzą we dwójkę, gdyż on sam nie jest głodny. W dni takie jak ten posyłał cierплиwszego z natury syna na pierwszą linię, a sam szukał

schronienia w swoim pokoju, w złudnej nadziei, że tym sposobem będzie w stanie zagłuszyć dźwięk powolnych obrotów niszczarki. Wtedy jednak machina wydawała się przenosić do środka jego głowy, gdzie powolnemu poćwiartowaniu ulegały ich wspólne wspomnienia wyjazdów, nocy pod jedną kołdrą, popołudni spędzanych na tarasie - wszystkiego, co nie zatarło się jeszcze w pamięci prawie trzydziestu lat wspólnego życia. Wiele znanych nam historii w banalny sposób wskazuje na pokrewieństwo, a przynajmniej bliskie sąsiedztwo, uczuć pozornie skrajnych: miłości oraz nienawiści. Zemsta, zawiedzione nadzieje, złamane serca, ból straty napędzają szaleńcze przeskoki z jednego bieguna na drugi. On sam podróżował w jedną stronę, od uczucia względnie bliskiego miłości do czegoś bardzo bliskiego nienawiści, niezdolny jednak do ostateczności. Być może zabrakło mocnego motywu - mąż czuł się po prostu w jakiś sposób oszukany. Żadna loteria, w którą grają ludzie, nie przewiduje kar dla niewygrających losów. Choć nigdy, nawet w swojej głowie, nie wypowiedział pragnienia, by Maria i problem dołączony do niej w pakiecie zniknęły, to również ani razu, odmalowując swoją spokojną starość przed dziećmi, nie użył liczby mnogiej, co, niestety, nie było w stanie umknąć ich uwadze.

Gdy ojciec zapadał się w głąb przeszłości, która jawiła mu się, tak jak i przyszłość, w coraz ciemniejszych barwach, ich syn powoli dzielił posiłek i milczenie z Marią. Gdzieś w połowie dostrzegł, że ją traci: tkwiła podparta na lewej dłoni, w której wciąż trzymała widelec i zdawała się być gotowa do snu.

- Mamo... Skończ jeść albo nie kończ, jeśli nie masz ochoty, i idź się położyć.
- Tak, ta... kończę, dojem to. - Wiedział, że jej zapewnienia są automatyczne, a ona sama wydaje się nie dostrzegać, że nad talerzem makaronu balansuje na granicy snu i jawy.
- Yhym, czy ty... tego?
- Słucham? - spytał z czułą troską, choć domyślał się, że raczej nie będzie czego słuchać.
- Ach, nic, nic, weszłam Ci na twój teren... - Nie miało to zbyt wiele sensu, choć nie sposób się nie zgodzić, że opieka nad drugą osobą wiąże się z wtargnięciem na czyjś teren, z koniecznością podzielenia się swoim kawałkiem papieru.
- Nie szkodzi, nie przejmuj się. - Mimo że Maria z całą pewnością nie dałaby rady powtórzyć przed chwilą wypowiedzianych słów, nawiązał z nią dialog - zbędny bądź nie, w każdym razie ta uprzejma wymiana doprowadziła ich do końca posiłku.

Po jakimś czasie syn wyszedł z inicjatywą wspólnego czytania na głos - skojarzenie z próbami wpajania ciekawości świata dzieciom narzuca się samo, jak w wielu innych przypadkach, gdy członkowie rodziny w którymś momencie swojego trwania zmuszone są zamienić się rolami, lecz w tym wypadku istnieje pewna zasadnicza różnica. Pocięchom czytamy we wspólnym poszukiwaniu wyciszenia, nierzadko przed snem, zaś syn podejmował próby przyswajania tekstu z Marią, by obudzić jej umysł i wyrwać zarówno ją, jak i otoczenie, z ciszy gorszego dnia.

- Dobrze, pamiętamy, co się wydarzyło ostatnio w powieści - syn oswaja ją z tym, co ma nastąpić za chwilę - może zaczniesz?

- *Pan Macroni przybił swoje szyby w 1924 roku, kilka...naście miesięcy przed tym, jak otwarto obok bazę wypadową* - rytm czytania Marii się urywał, a jej głowa kołysała się do przodu i do tyłu, niemal zahaczając nosem o strony.

- Mamo, nie zgaduj słów, skup się na tekście, a jak trzeba, to czytaj po kolei, literka po literce. To zdanie brzmi: *Pan Marconi powiesił swój sztyld w 1942 roku, kilka miesięcy po tym, gdy w pobliżu otwarto bazę wojskową*. Dobrze, to może ja zacznę, a Ty staraj się słuchać uważnie.

Przeczytał powoli jeden akapit, streścił jego treść i sens, po czym pozwolił Marii spróbować ponownie. Po kilku zdaniach zlepionych z malapropizmów, których pochodzenie i sens trudno było wyjaśnić, nie mówiąc o powiązaniu ich z treścią książki, zrozumiał, że przecenił ich wspólne możliwości na dziś.

- Dobrze, nie szkodzi, poczytamy jutro.

- Tak, tak, widzisz, jakieś durnoty wymyślam...

- Zdarza się każdemu - zaprzeczał stanowi faktycznemu, lecz w jego głowie Maria była tak delikatna, że nawet „durnoty” wymierzane w samą siebie mogły ją zranić.

- To co mogę ci zaproponować?

- Nesklika.

- Nesklika?

- No, tego...

- Aaa, Netflixa!

- Ta, Netlika!

W tym miejscu skojarzenie z dziećmi nasuwa się samo - włączenie ekranu i pozostawienie podopiecznych na pastwę świata pozornie dynamicznego, lecz zasadniczo biernego, jest jak przyznanie się do własnej porażki - niezdolności do podejmowania kolejnych prób zaangażowania drugiej osoby i poświęcenia samego siebie. Jednak wyjścia ostateczne czasem pozostają jedynymi - to proste, choć ciężkie do zaakceptowania.

Przez najbliższe dwie godziny wszyscy w domu zdążyli już zapomnieć o tym, że dzielą ten dach z innymi osobami. Każdy stara się podtrzymać to kojące uczucie jak najdłużej, uzbrojony we własne akcesorium. Spokój samotności zostaje zakłócony sygnałem wzywającym Marię do wzięcia leków i jej ponownym wtargnięciem do ich życia.

- Synkowie, komuś zrobić jajecznicę na śniadanie? - bez wątpienia wstąpiła w nią nowa energia.

- Śniadanie? Mamo, jest dziewiąta wieczór, spójrz za okno, jest ciemno - odwołanie się do faktu tak bezspornego musi w tej chwili wystarczyć.

- Ach, no popatrz, jasne... To ja się prześpię jeszcze może, tak chwilkę.

- Tak, zdecydowanie, najlepiej całą noc.
- Yhm, tak... zobaczmy. Dobranoc.
- Dobranoc - dzieci machinalnie żegnają się z Marią, licząc, że to miłe w swym brzmieniu słowo będzie ostatnim zamienionym z nią tego dnia. Dużo później, gdy pozostali domownicy kładą się spać, część rodziny modli się o lepszy dzień dla Marii, a część wzdycha do samych siebie, zaklinając niszczarkę.

***Piotr Machajek** (ur. 1995) sinolog, tłumacz i poszukiwacz interesujących zajęć. Na co dzień zaplątany w słowa i ich znaczenia. Towarzyszący pandemii okres zamknięcia dał mu impuls do znalezienia nowych środków wyrazu, w tym - pisania. Na instagramowym koncie @sinoksiazki opowiada o literaturze azjatyckiej. "Gorszy dzień" to jego drugie opublikowane opowiadanie - debiutanckie "Muchy" można znaleźć w 38 numerze czasopisma "Zupełnie Inny Świat".*

Aleksandra Klóska

wnikliwie kontemplując dzieło
zniszczenia wywołanego przez
ciche dotychczas dzieła sztuki
sprzedawanej na sztuki
rozmienianej na drobne
odpłacasz się pięknym za nadobne

jasny przekaz drga w twojej głowie
niczym struny głosowe
gdy próbują konkurować z dźwiękami

wydłubujesz pestki znaczeń z prażonych zdań
i rzucasz ptakom za okno
obrośnięty w piórka
sokolim wzrokiem widząc drugie dno
przypalonego garnka

trzeba się go pozbyć

nie ma po co już tu jeździć
nie ma po co
wszystkie talerze zostały rozbite
nikt nie ma ich w domu
pobite gary w basenie

brakuje morskiej bryzy
świeżości jakiegokolwiek tchnienia które uleczyłoby
mury i rany rany i mury
o rany

arterie światła mroźne korki i słoneczne pustki
trasa bez zmian labirynt rond puste place
hotele z biedronką i kebabem za rogiem

i nikt już nie wypowiada waszych imion
przyszli nowi, lepsi
inni kapitanowie na tym okręcie miasta pachnącego dalekimi stolicami

z góry nie słysząc już syrenich śpiewów
został tylko debet na koncie obietnic
i szum tkanki codzienności

Aleksandra Klóska pochodzi z Bydgoszczy. Robi sto rzeczy na raz i próbuje się w tym nie pogubić. Jej codzienne menu to koktajle z obrazów, słów i dźwięków. Lubi słońce, spacerować i patrzeć w niebo. Można ją znaleźć na Instagramie na kontach @aleksandra_kloska i @anterior_posterior.

Parcoidolia

Katarzyna Orzeszek

Klisza II

Warszawa, 8 listopada 1990

Nic nade mną i nic we mnie.

Szukałem dzisiaj *Anny Kareniny* na regale, ale zapomniałem, że ja oddałem Ci całego mojego Tolstoja. Dobrze, że mi go z powrotem nie oddałaś. Teraz, zamiast pracować, mogę mętnie patrzeć w bielony sufit i myśleć - no tak, ja jej całego Tolstoja oddałem. Szkoda, że ja nie jestem Tolstojem. Takiego Tolstoja to by na pewno nie wzięła.

Więc tak mijają te dni bez środka. Nie wiem już sam jakiego. Ale wiem, że ten jakiś środek to jest niezbędny. No a ja go nie mam. Z resztą – nigdy nie miałem.

Leje ten deszcz i leje. I tak głośno skubaniec stuka, że wydaje mi się czasem, że to Ty. I zaczynam mówić, że ja tu pracuję i proszę mi nie przeszkadzać. No i urywam to śmiechem, bo oboje wiemy, że ja nie pracuję, tylko patrzę w ten sufit, bo mój Tolstoj niezmiennie leży u Ciebie. A później już się nie śmieję, bo ja przecież przed chwilą uciszyłem deszcz.

Ale potem znowu się śmieję. Dlatego, że ściany w bloku są cienkie, a ja od dawna na klatce jestem witany słowami “Niech pan się, kurwa jego mać, zdecyduje wreszcie, bo ja panu tę linę to już dwa miesiące temu pożyczyłem”.

Sama rozumiesz, mam dobre serce i nie chcę martwić nikogo, że – o tu szczebioczę jak małe dziecko, a nagle urywam i tylko deszcz nadal stuka uparcie o nieszczelne okna. Śmiech to taki znak dla nich, że liną to ja przewiązałem zasłony do karnisza i raczej szybko tych zasłon nie planuję zdejmować.

No ale jednak pracować muszę. Zapomniałem, po co mi była ta pieprzona *Karenina*, więc się nie przejmuj. Dalej możesz w swoich aksamitnych sukienkach oplakiwać rosyjską klasykę. Tylko mi wyślij zdjęcie, jak już to będziesz robić. Powieszę siebie na suficie.

Sobie na suficie. Sobie.

Sama mi kazałaś pisać do Ciebie długopisem, a teraz, o – masz co chciałaś.

I nie uwierzysz – nikt w całej Warszawie nie chciał mi sprzedać dwunastu i pół gwiazdy.

No to kupiłem papierosy.

Tadeusz Soplica
czy jak tam Ci się marzy

[...]

Klisza XIII

Warszawa, 31 marca 1991

Nie zasługujemy na takie nieba.

No i co, znowu mnie wystawiłaś. A ja dzisiaj dla Ciebie zmartwychwstałem.

To znaczy, tak naprawdę to wstałem z łóżka. Może nie jak Chrystus, w promieniach i fanfarach. Ale jak słońce. Tak właściwie to równo z tym, ociekającym rdzawą, żydowską krwią, słońcem.

I jak idiota, ja – seryjny ateista, pogałem w marcowym mrozie na roraty. I nie śmieję się, bo nawet pisząc ten list słyszę Twój ołowiany śmiech. I widzę nitowane błyski w Twoich zzieleniałych tęczęwkach. Nie śmieję się, bo ja to zrobiłem dla Ciebie.

Omijałem drewniane płoty, na których białe kocury ciepło sobie spały, nie wiedząc ani o żadnym zmartwychwstaniu, ani o krwi spływającej po trotuarach. A mnie szron zaszedł powieki. Pomyślałem złośliwie - no niech śpią te kociska, zara jak zaczną na cud strzelać, to nie wrócą trzy dni do domu.

W końcu przewaliłem się ze swoimi grzechami przez barokową bramę. Przywitał mnie przeszywający, basowy huk. A ja na to - no niech będzie pochwalony. W kościołach to ja się zawsze czuję jak nałogowy palacz w wagonie dla niepalących. Jakaś jednak zawsze sadystyczna przyjemność z tego jest.

Nie chciałem Jezusowi przeszkadzać w jego cudzie, to stanąłem grzecznie pod płotem. Zimno było cholernie i nawet krew, zalewająca już teraz całą moją twarz, nie dawała żadnego, żywego ciepła.

Stałem pokornie i patrzyłem. Kolorowe wstążki, oplecione na ramionach krzyża, powiewały wesoło, jednak co i rusz zatrzymywane były w próżni przez prochowe huki. Serce mi zadrżało, tak jakbym naprawdę był żywy, gdy, pod tęczą perlistego aksamitu, procesja malowała się kilkoma jasnymi główkami, z kilkoma parami słomianych warkoczy. Na brudny, ściekający krwawo bruk, spadały suche płatki kwiatów. Bielusińskich różyczek. Myślałem, że tam będziesz. Ale Ciebie znowu nie było.

No to skoro Cię nie było, to już mi się nie chciało zmartwychwstawać. Strzeliło znowu, zęby mi zadzwoniły, podniosłem kilka zdeptanych listków i wyszedłem z tego złożonego krwią wagonu.

Całą drogę do domu słyszałem huki, ale to może moje myśli zamieniły się już w czarnoprochowca. Teraz tak myślę, że może kościoły mi się pomyliły? Albo Ty naprawdę wierzysz w to, że bóg jest wszędzie, więc nawet nie fatygowałaś się w ten marcowy poranek... A może Ty wcale nie wierzysz i to jednak ja w tym duecie jestem wierzącym. Nie. To na pewno nie to.

Wypiłem za Jezuska trochę wina, nie odebrałem żadnego telefonu, nie przestawiłem żadnego zegara. Doszedłem do wniosku, że to nie tak, że ja w boga nie wierzę. Ja, po prostu, w nic nie wierzę – ja siedzę na dębowym, ciężkim krześle i ja nie wierzę, że to krzesło jest. A raczej – wiem, że to krzesło w momencie, gdy w nie uwierzę, gdy powiem: “tak, oto jest krzesło solidne, dębowe” – rozprysnie się na miliardy kłujących drzazg.

Nie mogę się podpisać, bo jeszcze bym w siebie uwierzył

[...]

Klisza XVI

Koniec świata, 22 maja 1991

A jednak maj istnieje też poza Warszawą.

Wyjechałem w końcu z tego miasta. Zdradziłem Warszawę z pierwszą lepszą przydrożną wioseczką. I nie uwierzysz. Tutaj kwitnie nawet więcej bzów niż tam. Tu, gdzie teraz jestem, między żebrami wszystkich drewnianych płotków, wiją się poskręcane zielone łodyżki i pryskają ku niebu słodkim, rumianym błękitem.

Wszyscy moi lekarze kazali mi uciekać. Potraktowali moje miasto jak płonącą fabrykę.

“Pan naprawdę ma chore płuca”. Milczałem.

“Pan naprawdę ma chore serce”. Mój kardiolog bez przerwy napuszczał na mnie mojego psychiatrę. Wszyscy byli w zмовie.

Chcieli sami sobie rznąć bezbronną Warszawę, gdy ja bym w tym czasie łąził po jakiś wilgotnych, mazurskich lasach.

Ale mieli rację. Cholera. Naprawdę mieli rację. Zośka. Ja umieram. Umieram i to nie w Warszawie. Nie bohatersko w wojnie. Nie jak słabeusz z własnych rąk. Umieram tak po prostu. Żyłem obrzydliwie tylko po to, żeby umrzeć pięknie. Ale czemu nie pomyślałem, że moja płonąca fabryka nie jest Rzymem. A ja nie jestem Neronem. Płonący Rzym mienił się miliardem pozłacanych iskier, spływających po skalistych wzgórzach. A Warszawa mieni się tylko ogniem kominów. A kominy mienia się tylko dymem i węglowym pyłem. A moje płuca mienia się tylko zimną śmiercią.

Ale może chociaż na mój pogrzeb przyjdiesz. Prawda?

A teraz leżę gdzieś na końcu świata. W brudnym potoku skrapla się majowe słońce. I tak jakoś lżej mi umierać. W uszy łaskocze mnie cieniutka trawa i jakby mi śpiewała coś na kształt nawet i Osieckiej.

Dziwne to miejsce. Bo ja wiem, że nikt o nim nie wie. Ale brzegi cieniutkiego potoku obrastają białe narcyzy. Trą korzennym zapachem cierpkie powietrze. Ktoś musiał je przecież tu posadzić. Z biologii prawie nie zdałem. Pamiętam z niej tylko jedno zdanie: “Każdy żonkil jest narcyzem, ale nie każdy narcyz jest żonkilem”. Ktoś to mądrze wymyślił. Albo mi się tak tylko wydaje.

A goździkowy wiatr przerywa tylko ciężki, lejący się falami, mieniący na brunatno, miód. Krzewy dzikiej róży układają się w drut kolczasty. Całe ręce mam od nich pocięte. Ale było warto. Bo tak dobrze umierać w otoczeniu dzikich róż.

I z tak mdłej plejady zapachów nieśmiało poznają już tylko migdały. Jadłem je z Tobą, wtedy w czerwcu. Kupiłem za ostatnie pieniądze małą paczkę i z wyborów pobiegłem od razu do Ciebie. Powiedziałem, że teraz już będzie ciepło. Okłamałem Cię. Bo maj w tym roku, jak sama czujesz, jest wyjątkowo zimny.

Widzę powój rozsiany po całej polanie. Kręci się i wije wokół wszystkiego. I wszystko umiera, czując tylko migdały i myśląc - och! Jakże słodko jest umierać, mamląc w buzi lekkie płatki migdałów! Bielutkie kwiatuszki rumienia się zdradliwie. Tak jak i Ty Zośka. Tak jak i Ty.

Powoli i mnie ten powój zaczyna obrastać. Trawa już nic nie śpiewa. Miód skrzystalizował się w powietrzu i cukier, jak zbite szkło, rozcina mi powieki.

Zosiula, ja Cię proszę, przyjdźże chociaż na mój pogrzeb. A jak nie, to idź przynajmniej ten jeden, jedyny raz, na tych żołnierzy.

...

Katarzyna Orzeszek jest uczennicą liceum i pochodzi z mazowieckiej wsi, którą pieszczotliwie nazywa "końcem świata". Pisanie traktuje jako najwspanialszy sposób na poradzenie sobie z własną wrażliwością. Jej największe życiowe miłości to poezja śpiewana, Marek Hłasko, historia (głównie zimnowojenna) i wschody słońca.

Będziemy tu, gdy przyjdzie wiosna

Krystian Furga

Do pociągu wsiada kolejna osoba, przeciska się cichym *przepraszam* przed osobą kolejną, siada na jednym z dwóch wolnych miejsc, drugie puste, pozostawione na szczęście. Od wejścia ustanawiającego do usadzenia się, odwrócenia twarzy do szyby, pochylenia w jej mroźnym kierunku, oparcia czoła, zapożyczenia temperatury, obdarowania szyby wzrokiem odbijającym mija – jeżeli dobrze policzyłem – osiemnaście sekund.

Albo: stoję na moście w małym miasteczku, most zdaje się szeptać. W jego głosie, marszczącym taflę wody, oddechu, którym ją obdarza, wyczuwam drżenie, drżenie rozpadające.

Albo: w sklepie. Półki, a na nich puszki z groszkiem, ciecierzycą, fasolą czerwoną, fasolą białą, kukurydzą. Żółta. Od góry: sufit biały, światło białe. Od lewej: ściana biała. Od przodu: etykiety czerwone, etykiety żółte, etykiety zielone. Dotykam każdej puszki, w kolejności alfabetycznej. Ciecierzycy. Dotyk. Fasola biała. Dotyk. Fasola czerwona. Dotyk. Groszek i dotyk i kukurydza i dotyk i czy już nikt nie patrzy i czy oni już sobie poszli.

Albo: uczucie, gdy odezwie się telefon. Gdy bolą ręce, i gdy bolą nogi, i gdy znasz źródło chłodu. I gdy ten chłód powraca z każdym dźwiękiem, wypełnia podbrzusze, ściele posłanie i szykuje się do zimowego snu. Gdy wczepia się pazurami, gdy w rytm chrapania delikatnie nimi porusza. To uczucie mija, prawda?

Albo (już ostatnie, *musimy kończyć*): wschody i zachody słońca niczym się nie różnią, bo zastają mnie, a ja się nie zmieniam. Wschody i zachody słońca będą tu, gdy przyjdzie wiosna, a ja będę wśród nich.



rysunek: *Marcelina Żeligowska (@marcellined)*



Internetowy Magazyn Literacki "Składka"
Warszawa 2021



Warszawa 2021